Nr. 10 | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, październik 1926 | Rok XLVII

# ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

KALENDARZ ŁOWIECKI — We wrześniu wolno polować na wszelką zwierzynę łowną.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 2·50 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, $^1/_2$ str. 50 zł, $^1/_4$ str. 30 zł, $^1/_8$ str. 15 zł, $^1/_{16}$ str. 10 złp., $^1/_{32}$ str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiej Spółki Myśliwskiej ul. Lindego 9, w godz. 12—1. — Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

*TREŚĆ: Seweryn Krogulski: Pół wieku! — Adam Rzewuski: Na toki cietrzewie... wołami! — Mistrz-Rotmistrz: Kronika stara podarta i licha, u której niejednej karty nie dostało... (feljeton, c. d.) — Wincenty Kruszewski: Wspomnienia z polowań na wilki. — Szlachta drobna na Polesiu (feljeton, c. d.) — Władysław Wiśniowski: Obrona lisa. — St. Ost.: Zajęcza gawęda. — Władysław Czerniejewski: W tygrysim legowisku (ze wspomnień myśliwskich N. B.) — Tragiczna rozprawa z niedźwiedziem. — Korespondencja: Stanisławów. — Sprawy Towarzystwa: Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 10. września 1926 r. — Rawskie Powiatowe Towarzystwo Łowieckie. — Myśliwym do wiadomości. — Nowe czasopismo. — Komunikat. — Na ołtarz św. Huberta. — Z Wydawnictw.*

**Pamiętajmy o ofiarach na ołtarz św. Huberta!**

**Delegatom naszym, którzy nas zapytują, jak mają się zachować wobec propozycji Zachodnio Małopolskiego Tow. Łowieckiego, aby imieniem jego objęli delegatury — odpowiadamy, że akcja rzeczonego Towarzystwa dzieje się bez porozumienia z nami i że stosunek nasz do tegoż wyjaśnimy naszym Czł. i Delegatom w przyszłym numerze „Łowca".**

## Prosimy usilnie członków naszych o dalsze ofiary na dokończenie kaplicy św. Huberta!

## Od Administracji

**Do W. Panów zalegających z wkładkami!**

**Do Nr. 10. „Łowca" dołączamy czek P. K. O. i przypominamy P. T. członkom, obowiązek uiszczenia zaległych wkładek, jakoteż należytości bieżącej za kwartał IV. 1926 r.**

SEWERYN KROGULSKI

# PÓŁ WIEKU!

Ciąg dalszy

Nie tak wszakże pomyślnie — jak z doprowadzeniem do skutku sprawy Klubu budowli i tresury psów myśliwskich — wiodło się Wydziałowi z dwoma, wielkiej wagi dla łowiectwa postulatami, poruczonemi mu do załatwienia przez poprzednie Waln. Zgromadzenie.

Z przemówienia prezesa St. hr. Stadnickiego, w którem pokrótce zdaje sprawę Walne Zgromadzeniu w dniu 30 czerwca 1905 r. z czynności Wydziału Towarzystwa, dokonanych w okresie 16. VI. 1904 — 16. VI. 1905 wynika, co następuje:

Komisja powołana dla sprawy języka łowieckiego, jakkolwiek już się ukonstytuowała, to jednak z powodu śmierci jej przewodniczącego, Leopolda hr. Starzeńskiego, nie mogła przystąpić do pracy.

Utworzenie organizacji Biura sprzedaży zwierzyny — „Ławy targowej we Lwowie" — rzeczy na pozór łatwej, napotyka jednak na pewne trudności.

Wnioski w obu tych aktualnych sprawach będą później Waln. Zgromadzeniu przedłożone.

Lwią część czasu — obok załatwiania licznego szeregu spraw bieżących — poświęcił Wydział żmudnej pracy, mianowicie reorganizacji delegatów Towarzystwa łowieckiego w kraju.

Wszelkie starania podjęte przez Towarzystwo w Wydziale krajowym o poparcie i to tak o moralne jak i materjalne, nie znalazły uwzględnienia. Co smutniejsze, że władza ta zamiast uznania działalności Towarzystwa za czynnik dodatni na polu rozwoju łowiectwa jako części kultury krajowej — objawiła wręcz zapatrywanie, że łowiectwo uważa tylko za sport pewnej warstwy społeczeństwa. I to jest głównym powodem, że Wydział krajowy odmawia Towarzystwu udzielenia żądanego zasiłku, jaki mu się słusznie należy z funduszu wpływającego do kasy Wydziału krajowego z opłat za karty myśliwskie, wynoszących w przecięciu 45.000 K. rocznego dochodu.

Natomiast władza polityczna, Namiestnictwo, pod każdym względem silniej obecnie niż w latach poprzednich sprawy łowieckie popiera.

W przemówieniu końcowem wyraża prezes żal z powodu zgonu w tym okresie czasu członków Towarzystwa. (Obecni powstają). Uczczenie w ten sposób icb pamięci, zarządza prezes zapisać w protokole.

Zmarli: Leopold hr. Starzeński, Ludwik Szawłowski, Władysław Rieger, Konstanty Pawlikowski, Włodzimierz Siemiginowski, Dr. Józef Pajączkowski, Gustaw Strawiński, Władysław Wojnarowski, Józef Krajewski, Jakób Głuchowski, Dr. Józef Dziembowski, Adolf Dobrzyński, Herman Czecz-Lindenwald, Ferdynand Chmielowski i Anatol Zihlar.

Poczem przystąpiono do porządku dziennego.

Dr. St. Miziewicz przedkłada Zgromadzeniu zarys projektu w przedmiocie zorganizowania Biura handlu zwierzyną. Zaleca stworzenie rodzaju syndykatu pod patronatem i kontrolą Wydziału Towarzystwa łowieckiego. Na koszta nawiązania stosunków z wszystkiemi firmami w kraju, handlem zwierzyny się trudniących, celem scentralizowania tego „businessu", prosi o uchwalenie osobnego kredytu w wysokości 250 K. tytułem zaliczki zwrotnej.

Nad sprawą tą obszerna odbyła się dyskusja. Wiceprezes Krogulski twierdzi, że sam „Łowiec", który dochodzi tylko do rąk tysiącakilkuset członków, nie jest w stanie nadużyciom w strzelaniu i nielegalnej sprzedaży zwierzyny w porze jej ochrony zapobiec.

W tym względzie trzeba koniecznie oddziaływać na opinję publiczną za pośrednictwem prasy codziennej, którąby ostrzegała publiczność przed nabywaniem i podawaniem zwierzyny w restauracjach w terminie zakazanym, z uwagą, iż zarówno kupujący jak i sprzedający, za nieprzestrzeganie dotyczącego przepisu podlegają ukaraniu.

Hr. Stefan Szembek zapytuje czy niedałoby się wyposażyć członków Towarzystwa w pewnego rodzaju legitymacje, uprawniające ich do konfiskowania nielegalnie sprzedawanej zwierzyny i doraźnego pociągania winnych do odpowiedzialności.

Delegat Towarzystwa, Kazimierz Wysocki, zwraca uwagę, że jak długo proponowane przez niego plombowania zwierzyny ubitej i zaopatrywanie kupców w świadectwa źródła jej nabycia nie stanie się prawomocne, tak długo nie dadzą się te nadużycia usunąć.

Po szczegółowem omówieniu sposobu plombowaniu zwierzyny oraz wydawania certyfikatów, wnioskodawca przedkłada swój projekt do uchwalenia i poruczenia Wydziałowi Towarzystwa, aby postarał się w Namiestnictwie o wydanie dotyczącego rozporządzenia w przepisach wykonawczych do ustawy łowieckiej. (Oklaski).

Wszystkie wnioski w powyższej sprawie zostały przyjęte.

Następnie w myśl §. 25 Statutu Towarzystwa przystąpiono do wyboru prezydjum i członków Wydziału w miejsce ustępujących.

Ordynat Czarkowski-Golejowski czyni wniosek, by

ustępujące prezydjum i Wydział wybrano nanowo przez aklamację, co też jednogłośnie uchwalono.

Wobec tego wybrani zostali ponownie na trzy lata: prezes Stanisław hr Stadnicki, wiceprezesowie Juljusz hr. Bielski i Seweryn Krogulski; członkowie: Jan Czeżowski, Alfred Dzikowski, M. Hamerski, Tadeusz Klusik-Orzechowski, St. Matkowski, Stanisław hr. Mycielski i Stanisław Piegłowski.

Z zastępców zaś członków: Dr. Marjan Boziewicz, Marjan Małaczyński i Stanisław Pieńczykowski.

Prezes hr. Stadnicki dziękuje Walnemu Zgromadzeniu za ponowny wybór i zapewnia, że „będzie się starał i nadal całą duszą reprezentować Towarzystwo i spraw jego bronić“.

Następuje krótka dyskusja nad wygłoszonym referatem końcowym dr. Władysława Sołowija w kwestji hodowli i tresury psów myśliwskich, poprzednio już tu przytoczonym — w opisie Przeworska.

Po oznajmieniu prezesa, iż porządek dzienny został wyczerpany, zabiera głos delegat Towarzystwa Antoni Skrzyński i mówi: „Jakkolwiek p. przewodniczący zaznaczył, że może nie wszystko dzieje się w łowiectwie tak, jakbyśmy pragnęli, to jednak postęp na tem polu jest ogromny. Towarzystwo nasze wchodzi bądź co bądź na tory właściwe, tak, że władze liczą się z niem poważnie: jest to zasługą w pierwszym rzędzie tych, którzy nas zastępują. Tą naszą władzą reprezentacyjną jest Wydział ze swoim prezesem. Ponieważ zasługi Wydziału są znaczne, dlatego wnoszę, abyśmy mu podziękowali za jego pracę ku ogólnemu dobru myślistwa podjętą“. (Brawo i oklaski)

Prezes w imieniu swojem i swych kolegów dziękuje za słowa uznania i wobec wyczerpanego porządku dziennego zamyka Walne Zgromadzenie.

Popisowe strzelanie dnia tegoż odbyło się przy ślicznej pogodzie na Strzelnicy wojskowej.

Do zawodów o zdobycie nagród i oklasków niezwykle liczny tym razem stanął zastęp członków i zaproszonych oficerów.

Strzelano doskonale. Widocznem było, że szlachetny kunszt ten na coraz to wyższy wznosi się poziom.

Starsi zapaśnicy z radością spostrzegli, że w młodszych znajdą niebawem godnych siebie zastępców, którzy sztandar strzeleckiej sławy wysoko podniosą.

Nagród zdobyto siedmnaście.

„Łowiec“ z tego okresu liczy 293 stronice. Porusza i omawia wszelkie zagadnienia z dziedziny łowiectwa i nader zajmujace i pouczające zawiera wiadomości. Pełno w nim sprawozdań delegackich, łowieckich, tudzież korespondencji członków z wszystkich ziem Polski. Pouczające zamieszcza artykuły z dziedziny wynalazków i ulepszeń w broni myśliwskiej. Drukuje piękne i bardzo zajmujące „Akwarele myśliwskie“ (karta wspomnień z lat ubiegłych) pióra niezapomnianej pamięci Józefa Łozińskiego, pierwszego redaktora „Łowca“.*) Wnuk zaś jego, dr. Tadeusz Mańkowski, pisze „Prawo łowieckie w Polsce w wiekach średnich“.

Wśród innych rzeczy, mocno interesujących, czytamy: Józefa hr. Potockiego „Z Pilawina“, Jana Sztolcmana „Myślistwo na wystawie w St. Louïs“ i „Nasz udział w pracach przyrodniczych całego świata“, Roosevelta „Łowy w amerykańskiej puszczy“, dr. Jana Zdunia „Wycieczka do Hercegowiny“, hr. Sylwy-Tarouca „Hodowla jelenia“, Sokalskiego Romualda „Wycieczka po Żubry dla Pilawina“ i wiele innych artykułów pióra dr. W. B., hr. Sumińskiego i Alberta Mniszka.

Słowem — treść przebogata.

C. d. n.

*) Rzecz napisana w r. 1888, a udzielona Redakcji przez Dr. Augusta Łozińskiego, syna autora.



ADAM RZEWUSKI

# NA TOKI CIETRZEWIE... WOŁAMI!

Polowanie, podobnie jak i wojna, wytworzyć może jakąś niesamowitą, nieprzebytą jeszcze, nową sytuację.

Do takiej zaliczam wyprawę wiosną r. b. na cietrzewie rzeką Lwą, kilkanaście kilometrów do jeziora zwanego „Tuchola“ (powiat Sarny, na Polesiu).

Tam też znajduje się siedziba jednego z typowych polskich aborygenów — dźwięczne imię Gisa noszącego.

Cuda i dziwy opowiadano o tym tokowisku.

Coprawda, na bezgranicznych obszarach, nieosuszonych błót majątku Tomaszgród, najgościnniejszych państwa Stanisławowstwa Szyczewskich, znajdował się w dość znacznej od brzegu bagna „Pogonią“ zwanego, odległości, bajeczny tok, na którym odbywało swe zaloty niemniej jak paręset kogutów.

Coś podobnego widziałem raz jeden tylko w życiu, też w miejscu niedostępnem, w gubernji Ołonieckiej, na ostrówku, wśród błota mszarnego.

W czasie mego „siedzenia“ pewnego poranku w budce, na jednym z tych „brzegowych“ tokowisk Pogoni, literalnie aż uszy bolały od „czufykań i bełkotów“, wrzało bowiem jak w garnku na tym niedostępnym niestety Eldorado. Na ile zaś ten sezam był należycie „ufortyfikowany“ od wszelkich niedyskrecyj panów myśliwych — mogą ilustrować żałośliwe jeremiady najzacietszych kłusowników...

„Ej, Bohu! — panoczku! — sam czort ciaper do cioho ostrowka ne doberetsia!“

A jeśli już i podobni osobnicy rezygnują — to cóż dopiero zwykły, chociażby najwięcej wytresowany śmiertelnik. Powiadano nam także, że poza tem pełnem fantasmagoryj tokowiskiem — miejscowość, do której odbyłem rzadką „wołową“ podróż — zajmowała ilościowo następne bezwzględnie miejsce!

Bardzo być mogło, że rzeczywiście tak było w początkowym okresie — rozpoczęcia wiośnianych turniejów przez czarnych rycerzy. Atoli, na kika dni przedemną, na tych samych terenach panowie: prezes Chmielowski i dr. Prochorów z Równego, zdobyli kilka sztuk liroogoniastych. Po nich oczywiście wyżej wspomniany polski aborygen i jego kolega w drugiej chatynce zamieszkały... zapewne też nie próżnowali!...

Rezultat... — gruntownie rozpłoszony tok, rozpędzony na cztery wiatry. Z kilka dziesiątków kogutów coprawda grało na drzewach, żaden na tok ziemny jednak nie wylatywał, wynikiem czego — klapa pierwszej klasy oczywiście. Jedyny strzał, na niemożliwą dla śrutówki odległość przezemnie dany do siedzącego na „chwojce“ — kilka sztucerowych, mego najsympatyczniejszego towarzysza hr. Steckiego... kropką ostatnią tej niefortunnej niby to wyprawy.

Lecz bynajmniej nie żałuję znojów i czasu dla bezowocnej ekspedycji. Gdy tyle wrażeń jak wino upajających, najszlachetniejszych, prześniłem w tę noc jedyną, czarowną jak bajka w dzieciństwie, na kolanach starej niani słyszana...

* * *

Po cudnej peregrynacji rzeką „Lwą“, której nigdy nie zapomnę — wijącej się śród olch niebotycznych, czarnego „bociana-hajstra“ przytulisku — przestrzeni bezgranicznych zarosłych łoziną, szuwarami przy kilkukilometrowym rozlewie, pod akompanjament lubieżnych kwakań, poświstów lotu wszystkich niemal lęgowych i przelotnych gatunków kaczego rodu — z których pada niejedna z mej ręki — jesteśmy u celu podróży.

O jakie dwieście kroków „stupaków“ wznoszą się nowowybudowane chałupy Imć pana Gisa, właściciela ostrówka, oraz jego wspólnika — też niemniej tęgiego poleszuka. Obydwaj, widocznie amatorowie wielcy samotności i życia kontemplacyjnego, ponieważ wynieśli się ze zgiełku tomaszgrodzkiego — opuścili „centrum“ rejonowy, dla na odludziu leżącego błotnego pustkowia.

No, nie ręczyłbym jednakże za wstrzemięźliwość podobnych im egzemplarzy, do strzału na odludziu.

Zapewniają uroczyście, że „samopałów“ nawet dla obrony od grasujących wilków nie posiadają, gdyż zostały skonfiskowane przez organy policyjne. Bardzo pięknie... lecz gdy Europa jakoś żadną miarą rozbroić się nie może, tembardziej poleszukowi myśliwemu z dziada pradziada, djabelnie trudnem to być powinno, bolesną nader operacją.

Zresztą „chi lo sa“ — może to wynik wrodzonych z mej strony pesymizmu i nieufności.

Z początku właściciel chałupy „notabene“ pierwszy raz w swem życiu oglądający mą skromną osobę, rozpoczyna od stawiania pewnych wątpliwości co do mego upoważnienia polowania na jego tokowisku (polanka tokowa leży bowiem w „dominium“ sławetnego rodu Gisów) i na niej uprawiają łowy li tylko elici, osobiście mu znani i przez niego zapraszani „Excusez du peu“.

Lecz po dyplomatycznych pertraktacjach hr. Steckiego wszystko się urządza jaknajporządniej w świecie. Imć pan Gis posuwa swą grzeczność do stopnia udzielenia mi wskazówek o w pobliżu leżących ciągach słonek, po powrocie z których mają już na nas oczekiwać para własnych jego wołów z wozem, które z „komfortem“ dostawią nas do upragnionego ostrówka, przez nieprzebyte o tej porze roku topieliska. Zaiste, mógł biedaczysko nie tak gorąco troszczyć się o los już gruntownie rozproszonego tokowiska, o opłakanym stanie którego nie mógł nie wiedzieć. Lecz słowa danemi nieraz bywają dla ukrycia myśli, jak mówią Francuzi.

Znając psychikę i naturę poleszuka do głębi, wszystkie owe sprzeciwy odrazu wydały mi się arcypodejrzanemi. Tak też się i okazało... Ale nie w tem rzecz. Udałem się tymczasem na ciąg, prawie że pod samą izbą będący; upolowałem jedyną ciągnącą słonkę, hr. Stecki coprawda na dalszem strzelał do kilku i około godziny dziesiątej w noc ciemną, po myśliwskiej herbatce, z pokrzepieniem sił, w towarzystwie miłych poleszuków — hajda przez rojsty, błota, kanały i rowy — nie na Soplicę, lecz na turniej rycerzy. Zameldowano nam, że podany ekwipaż już oczekuje, i ludzie z gorejącemi „smolakami“.

* * *

Rzeczywiście, nocą prawie niepodobieństwem było, szczególnie przy wysokości wód tegorocznych wiosennych, przeprawić się pieszo przez owe piekielne otchłanie... Egipskie ciemności, rozproszone płomieniem smolaków-pochodni, pochłaniają całkowicie nasze jestestwa. Na czarnem tle nocy, oświetlone z dołu pnie sosen i brzeźniaków profilują się „po rembrantowsku“ czerwono-białe. Dwa gnomy-poleszuki brnąc ze światłem nieraz od pasa wyżej w wodzie, podtrzymują w miejscach krytycznych długi wóz, na sianie którego, nasze postacie wykonywują symfonję całą najdziwaczniejszych ekwilibrystycznych pozycyj. Bywają chwile, że głowa z plecyma zda się w bezdenną nicość zapadać, to znowu odwrotnie następuje sytuacja niemal wertykalna ciała grzesznego, przy zjeździe do głębokich kanałów. Poczciwe woliska, metodycznie posuwają się naprzód; podziwiam, iż pomimo ich ciężkiej wagi — nie grzęzną jednak prawie wcale. Nigdybym nie przypuszczał ową zdolność poważnych „bojużdów“ do podobnych spacerów.

Czem się kierują nasi przewodnicy, żeby nie omylić się w kierunku, Bogu jednemu wiadomo. Żaden Indjanin nie mógłby się lepiej orjentować chyba w topografji terenu. Kompasu nie mamy — a oni prą jak po sznurku. Zdumiewające! Pnie o pół metra nad moczarem wystające, krzaki, na które co chwila najeżdżamy, jakieś kłody, zawały, — „nie jest nam wszystkiem i wszystko nam niczem“. Wysuwamy się na szerokie, zalane otwarte łąki. Fantastyczne białe opary, zaróżowione od blasku pochodni okrążają nas. Ma się wrażenie pierwszych dni kosmosu wszechstworza — kiedyto z chaosu nieskończoności krystalizowała się nasza nieszczęsna kulaziemska

w mękach porodu, wytwarzając zbiorowe swe elementa w całość jednolitą.

„K'sobi! K'sobi! — cob!-cob!“ — rozlega się, podczas gdy ciała nasze na łaskę Opatrzności się zdają, a intelekt pogrąża się w jakąś znieczulającą Nirwannę...

Mimowoli odczuwa się przeżycia mar i snów głęboko uśpionego człowieka. Jakieś wizje, watą, rzekłbyś, okolone majaczą w mlecznych bielach mgły, tajemnic pełnej. Przemęczona troskami życia biedna głowa słodko tak odpoczywa w tej ciszy królewskiej nocy, otrzymując zewnętrzne refleksy żywiołu jak dziecko małe, lub ptaszyna na gałązce...

Miło się tak robi na duszy i lekko bezgranicznie. Zatraca się uczucie miejsca i czasu.

Wtem — „panoczku, a gde waliska wasza!“ — oglądam się — niema, zagubiona. „Wytrosłaś, ma but'.“ — Rozpacz! „tra poszukaty, panoczek“.

W walizce tej me ładunki, niezbędne zapasy, poduszeczka. Piękna historja, jeśli to wszystko marynuje się w wodzie — nawet przy wątpliwem bardzo odnalezieniu. Chwila — i ludzie i pniaki znikają razem ze smolakami, pozostają hr. Stecki, ja i woły. Jak świętojańskie robaczki zagaszają się gnomy w welonie ciemnych przestrzeni. Cisza tym razem z doskonałych najdoskonalsza bierze nas w swe pieściwe objęcia. Błota poleskie śpią...

Obrazy dalekich, dawno minionych czasów, sylwetki drogich postaci — tych, co już niestety nigdy nie powrócą, jakieś, kiedyś zapadłe do mózgu drobne wrażenia od słów, wyrazu ócz ludzkich, świateł i cieni koloryzacyj otoczenia, radości z obcowań z świętą Matką-Przyrodą — tężyzną łowiecką duszę krzepiącą, filmem przeszłości przesuwają się powoli w odpoczywającej wyobraźni.

Wtem — w mrokach oddalenia zamajaczyły światełka. O, szczęście! Zguba odnaleziona, gdzieś pod korczem suchem, nie podmokła nawet.

Będzie więc gorąca herbata z cukrem, dzięki Bogu, przy ognisku.

Około godziny pierwszej w nocy nareszcie wynurkowujemy na twardy grunt ostrówka, celu podróży. Co za rozkoszne uczucie świadomości, że się znajduje na pewnem, już nie błotno-zdradzieckiem podłożu, lecz na rzetelnej twardej ziemi.

Z delicją uraczywszy się herbatą, zawczasu byliśmy po karkołomnej peregrynacji w budkach na drugim końcu ostrówka przyrządzonych.

Tyle fatygi spełzło na niczem, gdyż, jak poprzednio nadmieniłem — rozkład wyprawy i l o ś c i o w o równał się obsolutnemu zeru, lecz suma wrażeń wiecznie w wdzięcznych duszach żyć będzie, prawdziwy bowiem myśliwy-przyrodnik często bardzo woli niesamowite otoczenie natury, trudności warunków łowów, od najwspanialszych nieraz rezultatów, szablonową metodą zdobytych.

Zresztą za parę dni powetowałem sobie uczciwie na „normalnym toku“.

Więc wszystko dobrze, co się dobrze kończy i dobre, świetlane wspomnienia pozostawia, za co św. Hubertowi dzięki i cześć naszej braci myśliwskiej się należą!

---

MISTRZ - ROTMISTRZ

# Kronika stara podarta i licha, u której niejednej karty nie dostało...

Ciąg dalszy

Razu pewnego, przebiegając w Towarzystwie dwóch Indjan, pustynną sawannę, pod wściekłym żarem prawie prostopadłych promieni słonecznych, w ciężkim pościgu za tabunem dzikich mustangów, spostrzegam nagle wielkiego brunatnego zwierza, gwałtownemi ruchami rozrzucającego wokoło chmury pyłu i grad drobnych kamyków.

Ciekawy zobaczyć co to za bestja i jaka przyczyna tych jego niezwykłych ruchów, podchodzę go, a podsunąwszy się ostrożnie, widzę, że to ogromny pancernik, z tych największych, co je Cuvier widział, który już od trzech czwartych zdołał się wkopać w ziemię tak, że mu już tylko zad okrągły widać i pośrodku wielki cielisty otwór.

Nie mając innego celu i bojąc się, aby mi pancernik nie znikł zupełnie pod ziemią, palę w sam środek.

„Dostał, aże gnojem popuścił“, powiada Zbyszko Maćkowi, gdy dział z kuszy do płowego tura. Nie zaszkodziło mu to jednak, gdyż w chwilę potem, już ciął koperczaki do Jagienki, mocarnej Moczydołów dziedziczki.

W tym wypadku przeciwnie, efekt strzału był niemal katastrofalny, gdyż ogarnęła nas taka fala smrodliwego powietrza, że odurzeni, popadaliśmy na ziemię i dopiero po długiej chwili odzyskali przytomność. . .

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Namiętność moja myśliwska i żądza coraz to nowszych wrażeń, parły mnie nieustannie naprzód. Pod pozorem tedy zebrania dla księżny Gintowtowej, kolekcji rzadkich i mało w Europie znanych ptaków, odznaczających się niezwykle barwnem upierzeniem, zapuściłem się głęboko w puszcze podzwrotnikowe, leżące w dorzeczu rzeki Amazonki.

Moi metysi łowili ptaki przeznaczone do kolekcji, a ja w towarzystwie kilku Indjan, przebiegałem najgęstsze puszcze, w puszukiwaniu coraz to nowych i rzadkich przygód.

W ten sposób udało mi się zabić kilka tapirów, tych karłów, krewniaków króla dżungli afrykańskiej, słonia, samotnych pustelników nadamazońskich bagien.

Największą jednak ochotę miałem na tutejsze lwy, pumami zwane. Pod tym względem jednak, wcale mi się nie wiodło.

Na rozkładzie miałem już najrzadsze okazy tutejszej fauny, przebiegłem dziewiczemi lasami setki kilometrów, z pumami, mimo wysiłków, spotkać się nie mogłem. Nie skutkowały obiecane tubylcom nagrody, choć miedzianobarwni, zachęceni mojemi obietnicami, usilnie się starali o sprokurowanie mi okazji do strzału, zwłaszcza że im obiecałem wiele szklanych paciorków, a przedewszystkiem dużo „ognistej wody“.

Bywa często w życiu ludzkiem, że to, czego się długi czas szuka napróżno, samo wkońcu człowiekowi w drogę włazi.

Tak się i mnie trafiło z pumami, celem mych pożądań.

Zaleźliśmy raz w taką gąszcz drzewną, ljanami powiązaną w nierozwikłany węzeł, że tylko z trudem, krok

WINCENTY KRUSZEWSKI

# WSPOMNIENIA Z POLOWAŃ NA WILKI

Czytając w „Łowcu“ i „Łowcu Polskim“ sprawozdania o rozmnożeniu się wilków w Karpatach, na Wołyniu i Polesiu, przypominają mi się dawne czasy minionego stulecia, kiedy i w naszych stronach, w sokalskim powiecie były one przez dłuższy czas plagą okolicy, a osobliwie dla włościan. W powiecie naszym było wtedy więcej lasów, a w tych rzadko kiedy robiono trzebierze w zagajnikach, tak że w gąszczach młodych zrębów miały wilki doskonałe miejsca schronienia. W 1869 r. wywiodły się one w lesie tuturkowieckim. Po wyłapaniu sarn zaczęły dusić na pastwiskach chłopskie konie, tak, że w pięciu wsiach, a to Tuturkowice, Wojsławice, Chorobrów, Mianowice i Nuśmice zadusiły przez lato około 75 koni. Ówczesny właściciel Tuturkowic mieszkał w Sokalu i nie był myśliwym, udali się więc poszkodowani chłopi do Starostwa, prosząc o zrobienie obławy. Starosta udał się z tem do ś. p. ojca mego, jako bliskiego sąsiada Tuturkowic. Zrobienie obławy w lesie tuturkowieckim 800 morgów mającym, trudno było w jesieni z dobrym rezultatem urządzić, gdyż niemożliwem było otropienie, tem bardziej, że nie było tam i dobrej straży leśnej, wpadł więc ojciec na pomysł, żeby wilki te sprowadzić do 18-to morgowego lasku, a właściwie gęstych krzaków, należących do Wojsławic, a leżących w środku mniejwięcej tych pięciu wsi, w których te konie zginęły. Do zwabienia zaś tam wilków użył ojciec dawnego strzelca sławnego niegdyś myśliwego Romanowskiego, byłego właściciela Uhnowa, Karowa i innych. Ażeby krzaki te po wejściu weń wilków otoczyć, sprowadził ojciec z Łuczyc, majątku hr. Komorowskiego 14 wozów sieci po znanym myśliwym ś. p. Ignacym Komorowskim. Pięć zaś wsi poszkodowanych dostało ze Starostwa nakaz dostawienia, każda po 50 ludzi do obławy, na daną wiadomość przez mego ojca. Przez parę nocy odzywały się wilki wabiącemu strzelcowi w różnych miejscach, dopiero czwartej nocy weszły do krzaków wyżej wspomnianych, a że księżyc trochę świecił, porachował strzelec siedm sztuk i z tą wiadomością o 4-tej rano przybiegł do ojca. Otrzymawszy tę wiadomość, kazał ojciec zwołać chłopów z Chorobrowa, a fornalom wywieźć sieci na wozach przygotowane, do czterech zaś innych wsi posłał dwóch ludzi konno z wezwaniem stawienia się pod wspomniany lasek, — gdzie rzeczywiście się zeszli około 9-tej.

Tam, gdzie sieci jeszcze nie były rozstawione, otoczono krzaki ludźmi. Że wilki były w lasku, przekonano się, gdyż przy ustawieniu pierwszych paru sieci wpadł w nie młody wilk, który z brzegu leżał i chciał uciec w pole, został jednak pałkami zabity.

Około południa skończono rozstawiać sieci, gdzie zaś tych zabrakło, ustawiono gęsto chłopów. Myśliwych trudno było wcześnie zaprosić, nie wiedząc kiedy wilki będą zwabione, — z powodu zaś krótkiego dnia w paź-

---

za krokiem, siekierą torowaliśmy sobie drogę. Wtem idący na przodku Indjanin, plackiem pada na ziemię, ruchem tylko ręki pokazując mi, abym podszedł bliżej.

Z gotowym do strzału sztućcem, podkradam się ostrożnie i jakżeż cudowny obraz uderza mój zdziwiony wzrok!

Na małej polance, otoczonej zewsząd nieprzebytą gąszczą, leży trup łani, do połowy już objedzony. Wokoło zastawionego stołu, trzej królowie puszczy biesiadują sobie w najlepsze. Aż mi dech zaparło. Chciwe oczy wpiłem w cudny akt natury, który tak rzadko danem jest śmiertelnikowi oglądać.

Lecz oto zaszeleściała gałązka, potrącona przypadkiem.

Wszystkie trzy pumy zastrzygły uszyma i spojrzały w moją stronę nieufnie. Zwolna, wciąż patrząc na mnie, powstają biesiadnicy od uczty, zwracają się w lewo, ku gąszczy zmierzają. Ostatni samiec, największy, pokazuje nam kły wspaniałe, mrucząc przytem jak kot. Odległość, jaka mnie od nich dzieli, wynosi mniej więcej piętnaście kroków.

Westchnąłem po cichu do naszego świętego Patrona i posłałem dwom najlepszym pumom, dwie, spokojnie wytrzymane kule. Po strzale łamię szybko ekspres, pakuję jeden ładunek i w chwili, gdy trzeci, najdalszy lew, znika właśnie w krzakach, strzelam za nim, mierząc między łopatki.

Gromowy ryk wstrząsnął praborem. Raniony zwierz zawraca błyskawicznie na miejscu i z wściekłością bijąc się po bokach ogonem, tuli uszy i kocim zupełnie ruchem, zbiera się do skoku.

Piorunem chwytam za zawsze mi nieodstępny kordelas, dar księcia, a w chwili, gdy ujrzałem cztery łapy pumy w powietrzu i gdy dech jego gorący owiąnął twarz moją, zatapiam ostrą stal po rękojeść w rozwartej paszczęce. Bluzgnął na mnie krwawą posoką i jak szmata legł u moich nóg.

Stoję, ciężko dysząc, nad moją ofiarą i dopiero teraz przychodzi mi refleksja, coby to było mogło się stać zemną, gdyby nie wprawa we władaniu kordelasem, nabyta w łowach na dziki i niedźwiedzie.

Dla ciebie, Anulo, dla ciebie — szepcę — i wraz jak żywy staje przedemną obraz mej słodkiej dzieweczki.

Pewnie przeczuła moją opresję i w chwili decydującej, westchnęła za mną do Boga. Słodka, droga dziewczyna.

Patrzę, co się stało z dwoma pierwszemi pumami. Leżą sobie w miejscach, gdzie były strzelone, powalone udatnymi strzałami na komorę.

Trzeci lew, ten, co na mnie szarżował, miał tylko powierzchowną ranę na karku. Widocznie w pośpiechu wziąłem go za wysoko. Natomiast niezawodna broń, kordelas, przeszedł na wylot kręgi szyjne, powodując natychmiastową śmierć bestji.

Więc zdobyłem nareszcie tak gorąco upragnione pumy i to odrazu aż trzy. Spełniony jest cel moich amazońskich łowów.

C. d. n.

dzierniku i z powodu złych dróg w mokrą jesień — zdecydował się więc ojciec przetrzymać otoczone wilki do dnia następnego — ażeby zaś to było możliwem, kazał zwieźć kilka wozów gałęzi naokoło lasku, dla palenia przez noc, a do właściciela Wojsławic pojechał po kilka garncy wódki dla chłopów, bo w Chorobrowie wtedy gorzelni nie było; tego samego zaś dnia popołudniu rozesłał ojciec posłańców konno do sąsiadów myśliwych, prosząc ich na drugi dzień do siebie.

Na drugi dzień o dziesiątej byli wszyscy zaproszeni, nawet najdalej mieszkający b. właściciel Krystynopola o 20 km oddalony, a kuzyn właściciela Wojsławic, którego o zaproszenie tenże ojca prosił.

Przyjechawszy na miejsce polowania, nie mogli ukryć zdziwienia, że mają polować na wilki w 18-tu morgach krzaków, położonych przy zejściu czterech dróg, — jeden nawet z tych panów (z za Buga) chciał się zakładać, iż to niemożliwe, żeby tam miały być wilki. Przez środek krzaków była dawna wąska dróżka, dzieląca je na dwie połowy, gdzie też myśliwych ojciec rozstawił.

W niespełna dwie godziny, które wystarczyły, żeby wziąć te dwa mioty, leżało 7 wilków (całe gniazdo) na rozkładzie.

Można sobie wyobrazić, jaka radość była między myśliwymi z tego rezultatu, tem bardziej, że wielu z nich pierwszy raz w życiu do wilka strzelało — niemałą też uciechę popartą c. k. guldenami miał strzelec, który się przyczynił do takiego rezultatu swoim talentem muzykalnym, dla wilków zrozumiałym. Będąc wtedy w szkołach, nie brałem niestety udziału w tem polowaniu.

W rok później wywiodły się wilki w lesie waręskim i także robiły znaczne szkody okolicznym chłopom. Ówczesny właściciel Waręża zrobił na nie polowanie przy końcu września, na którem zabiliśmy także 7 wilków i tylko stary wilk uszedł postrzelony.

Po tych dwóch tak udatnych polowaniach miała okolica nasza jakiś czas spokój pod tym względem i tylko podczas dłużej trwającego lodu na Bugu dostawały się wilki do nas z Wołynia.

W tych czasach zdarzył się straszny wypadek w Horodłowicach (nad Bugiem), gdzie wściekły wilk pokąsał 27 osób, podczas odbywającego się we wsi wesela; wilka wprawdzie ubito, ale wszyscy pokąsani zmarli w szpitalu we Lwowie (nie było jeszcze wtedy wynalazku Pasteur'a). W kilkanaście lat później zeskalpował wściekły wilk żonę kowala na przedmieściu Sokala; wilka zabił gajowy z Bendzichy, ale sam przez niego zadraśnięty, umarł później, nie chcąc się dać leczyć u dra Bujwida.

Po śmierci byłego właściciela Uhrynowa i Tuturkowic, robiłem w tamtych lasach dwa razy polowania (obławy) na wilki uproszony przez Starostwo; obydwa razy zabiliśmy po dwa wilki. Chciały widocznie osiedlić się w tych lasach; były to stare sztuki.

Na jednem z tych polowań (w jesieni) znalazł się przypadkiem znany nam senior myśliwych K. M., który przyjechał w odwiedziny do przyjaciela swego, byłego właściciela Waręża, a ten namówił go do wzięcia udziału w obławie, ale że M. nie miał swej strzelby ze sobą, pożyczył od przyjaciela sztuciec podwójny.

W pierwszym miocie, gdzie się wilków spodziewano, nie było tychże, ale wyszły dwa spore dziki na tego przywiezionego gościa — na 20 kroków na czystej łące, — chociaż obławę robiono na wilki, gość ten, wiedząc, że i dziki są szkodnikami, strzelił do nich dwa razy i na czysto chybił. Po skończonym miocie robił ów myśliwy swemu przyjacielowi głośno wymówkę za pożyczenie takiego „koromesła“, z którego tak haniebnie chybił. Jako prowadzący polowanie zrobiłem uwagę, żeby swoją admonicję domową przyjacielowi na później schował — gdyż obok miotu mogą być wilki; i tak rzeczywiście było.

Trzeba szczęśliwego wypadku, że jeden wilk wyszedł właśnie na tego waręskiego gościa w dość czystej drągowinie, a stojący obok niego właściciel Waręża krzyknął: „pilnuj!“ — chcąc się przyjacielowi przysłużyć — wilk skręcił na miejscu, ale M. mając już inną strzelbę, położył go celnym strzałem na miejscu.

W tym miocie padł i drugi wilk zabity wspólnemi strzałami trzech myśliwych.

Po miocie uściskał mnie M., mówiąc: Besztaj tak zawsze, tylko mi daj takie spotkanie.

Miałem też osobiście parę razy spotkania z wilkami. Było to w zimie roku 1884, w którym prawie codziennie były świeże tropy wilcze w moim lesie. W tym czasie właśnie zginął mi koń roboczy, którego po zdjęciu skóry kazałem do lasu wywieść i strychniną zatruć. W parę dni potem po silnej śnieżycy z wiatrem przekonałem się, że wilki nadpoczęły padlinę, ale śnieg zasypał tropy tak, że nie można było wilków znaleść. Objeżdżając drugiego dnia las, żeby się przekonać czy wilków tam niema, spotkałem dwa pod wsią, która leży niedaleko lasu; musiały się one dobierać do chlewów z owcami — co nieraz robiły, ale gdy im się to nie udało, wybierały się w kierunku lasu waręskiego. Objechałem je i zawróciłem do swego lasu. Miałem wtedy u siebie księdza unitę z guberni chełmskiej (było ich wtedy coś dziesięciu w naszym powiecie, — był nauczycielem w szkole miejskiej, ale we dworze mieszkał; a że był zapalony myśliwy, polował ze mną i nawet konno z chartami jeździł). Zabrałem więc jego i starego gajowego i dziesięciu chłopców na nagonkę. Rozstawiliśmy się pod lasem, niedaleko od lasu mianowickiego, którędy zwykle szły wilki do lasów w Uhrynowie lub Tuturkowic — i rzeczywiście dobrześmy stanęli, gdyż wyszedł wilk na księdza na sztych na jakie 45 kroków; po strzale wilk się przewrócił, zawracając na miejscu, ale poszedł bez kropli farby. Chodziliśmy dość długo za jego tropem, ale nigdzie farby nie było, a po skokach, jakie robił, widać było, że mu nic nie brakuje. Chodząc tak za nim, doszliśmy do małej łączki w środku lasu, na której gajowy spostrzegł w gąszczu wilka, stojącego między dwoma krzakami graba, ale przysypanego grubą warstwą śniegu; była to struta przed tygodniem wilczyca, która przeskakując przez widły graba, na nich skończyła. Chodziliśmy jeszcze dość długo po lesie, myśląc, że znajdziemy jej towarzysza, ale daremnie, — a wilk strzelony przeszedł koło sani, które na nas czekały, chłopiec zaś,

który konie trzymał, powiedział nam, że koło niego przeszedł „duże wełykyj łys“. Znaleźliśmy trop drugiego wilka, który na mnie byłby wyszedł, ale po strzale księdza skręcił na prawo i wyszedł flanką w pole.

W kilka lat później, jadąc raz przy końcu sierpnia z pola do domu konno, spotkałem wilka niedaleko wsi; napędziłem go koniem do lasu pobliskiego i posłałem list do rządcy bliskiej wsi Wojsławic, żeby z kasjerem przyjeżdżali ze strzelbami. Posłaniec wrócił, nie zastawszy tych panów w domu, zaraz więc popołudniu wziąłem gajowego i rymarza — który umiał strzelać, kilku chłopców i kazałem przepędzić blisko mego lasu położony lasek mianowiecki, należący do Wojsławic — przez który wilki szły zwykle z mego lasu do Uhrynowa lub Tuturkowic. Wilk był tam, jak się spodziewałem, ale wyszedł flanką w kierunku lasu tuturkowickiego koło wozu, który przywiózł nagonkę i koło którego stała klacz wierzchowa dla mnie przygotowana — siadłem więc na nią i w kierunku wskazanym pojechałem polem. Ujechawszy może kilometr, spotkałem chłopa orzącego, który mi powiedział, że odpędził wilka dobierającego się do jego źrebięcia. Jadąc dalej, zobaczyłem go na roli i puściłem klacz ostrzejszym galopem; gdy byłem o jakie 100 kroków od niego, usłyszał wilk galop konia, zaczął się oglądać i lepiej uciekać, chociaż był zmęczony — gdyż widziałem zwisający ozór z otwartego pyska. Koło drogi z Wojsławic do Tuturkowic jest mała łączka z rowem, a na nim kępa łoziny może dwa sążnie kwadratowe mająca; w tę kępę wilk wskoczył i tamże siadł. Klacz była także zmęczona po 6-kilometrowej gonitwie po większej części rolą poprzerzynaną rowami — zacząłem więc łączkę stempo objeżdżać, żeby klacz odpoczęła, myśląc przytem, że wilk przywaruje i da się bliżej zjechać, ale on siedząc, obracał się ciągle, żeby mnie widzieć. I jak trochę odpoczął, puścił się rowkiem idącym wzdłuż łąki; widząc to, strzeliłem za nim na jakie 80 kroków i widziałem po ściągnięciu tylnych nóg, że trafiony, ale na taki dystans, choć grubym śrutem, niewiele mu szkody zrobiłem — uszedł więc do pobliskiego lasu tuturkowieckiego.

Wróciwszy do domu, dowiedziałem się, że wilk w czasie południa wyszedł z lasu i trafił na 30 sztuk owiec, które się na ścierni pasły — i dwie z tych zadusił; chłopak, który je pasł, zaczął krzyczeć ze strachu, co usłyszeli chłopi jadący drogą i wilka odpędzili.

Wilk trafiony w przód (komorę), łatwo ginie, na dowód tego wspomnieć muszę, jaki mi się strzał udał w Uhrynowie, gdzie strzeliłem do wilka w takim gąszczu leszczyny i młodej dębiny, iż na 40 kroków dostał wilk dwa śruty (Nr. 2), które przeszły przez płuca na wylot, a trzeci śrut w brzuch; ten został w środku. Wilk po trzech skokach leżał martwy; reszta śrutów (kal. 16) ścięła krzak leszczyny.



## Szlachta drobna na Polesiu

*Z pamiętników i notat ś. p. J. Gluzińskiego.*

I zagrzmiały odgłosem organy, zatrzęsła się ziemia i zapadła się wieś Kromań z kościołem i całem zgromadzeniem weselnem. Otóż teraz jak tylko w kościele Nalibockim jest resurekcja, a w sobotę przed Zielonemi świątkami nieszpory, zawsze co roku w jeziorze słychać odgłos dzwonów, a całą potem noc nad jeziorem po lasach tańcują rusałki, śmieją się chychoczą i przechodzących tumanią.

I wy temu wierzycie? czy wy panie Tomaszu tego kiedy doświadczyli? zapytałem. —

— Ej kto by tam temu mając trochę oleju w głowie, wierzył, odpowiedział, anim ja tego niedoświadczył, ani żaden rzetelny człowiek nie słyszał i nie widział; tylko tak tradycja głosi a my ją też powtarzamy, aby się młodzi zakochani kajali, i kary za grzechy obawiali; w naszej prostocie panie, dobre i to.

— Powiedźcie mi jeszcze coś o Nalibokach rzekłem.

— Opowiadał on że dziś ogromna wieś Naliboki nie jest dawną i była wprzód osadą szlachty, przyjmującej książąt i cały dwór Radziwiłłów w czasie polowania. Jeszcze ja znałem (mówi) szlachtę starą, których nazywano cześnikami i podczasami książęcemi, a ponieważ po polowaniu zwykle bywały uczty że się najedli napili na pełne boki a pijaństwa bywało jeszcze więcej jak jedzenia, niektórym zaś przez mus nalewano w gardło gdy pić nie chciał, książe zaś krzyczał: panie kochanku, nalej mu boki! ztąd potem tę osadę nazwano Nalej boki czyli teraz Naliboki, a która i obszerne pola wykorczowała między lasami i osiedlili się na nich nie tylko szlachta ale i chłopi i stanęła wieś dość znakomita jak ją pan widział i huta szklanna, i kościół nasz łaciński i probostwo na którem jest zacny, tu urodzony proboszcz, ksiądz Ruszczyc, a który choć stary, jak go pan poznał, jest zapalonym myśliwym w lesie, bo to już taka natura szlachecka; tylko on na błota nie chodzi, bo stary ale za to do niedźwiedzia, dzika, łosia, sarny a nawet lisa i zająca jest chwat i nie przepuści i bije odrazu trupem; to on panie własnego bicia ma lisiurkę, a z pół kopy rogów łosiowych, ale bo też czworo gończych ma doskonalych i dubeltówkę jakby zaczarowaną, co palnie to przed nim trupem pada. —

Brat proboszcza szlachciura jak my, także Ruszczyc, także taki strzelec; niedawno na owsie, za księżym folwarkiem zaczaiwszy się w noc miesięczną zabił ogromnego czarnego niedźwiedzia jednym strzałem z pojedynki, a tylko od wypadku miał z sobą i księżą dubeltówkę i jeszcze dwóch strzelców. — Bo to panie, jak się tylko owies wykłosuje, to jest z między liści kiścią wysypie, a zwłaszcza gdy jest bujny, zaraz tam na żer wychodzi, obiema łapami obmyka ziarno, i do pyska pakuje a zajada. Niedźwiedź co go ten Ruszczyc zabił, był krzywołapa, bardzo go było trudno spotkać, a robił ludziom wielkie szkody; przed miesiącem wprzód zabił koniaka Fryszerzowi z Rudni, krew z niego wyżłoptał, odciągnął

WŁADYSŁAW WIŚNIOWSKI

# OBRONA LISA

W 5-tym n-rze „Łowca“ pod tym tytułem zamieszczony artykuł nasuwa mi pewne uwagi, o zamieszczenie których na łamach naszego „Łowca“ — Szanowną Redakcję uprzejmie proszę.

Na wstępie oświadczam, że stanowczo sprzeciwiłbym się podciągnąć naszego „mykitę“ pod ustawową ochronę.

Naprowadzona w powyższym artytule użyteczność lisa, a więc przyjemność, a ja dodam i wielka — strzału, skóra jako futro, tak chwilowo modne u naszych pań nafarbowane boa, a mniej jak mała użyteczność w rolnictwie jako pożeracza myszy i innych gryzoni z ślimakami, żabami i wężami nie stoi w żadnym stosunku do wyrządzonych szkód jako szkodnika par excellence — nie w parkach zajęczych i w bażantarniach — ale w kniei i polu.

Parki zajęcze i bażantarnie są rzadkością, tu pewnie, że łatwiejsza z lisem walka, ale w kniei i polu dla zwierzyny i ptactwa łownego — to plaga — to bandyta czystej krwi, to Ros i Panicz w lisiej skórze.

Chętnie darowuję mu szkody w drobiu domowem, tu rywalizuje czasem z gołębiarzem wprawdzie — straty te łatwo przeboleć.

Rozbójniczy jego żywot i proceder niszczycielski przypada właśnie na miesiące maj, czerwiec i lipiec — proponowane na okres ustawowo ochronny dla lisa.

Z 50-letniego doświadczenia twierdzę stanowczo, że dla łowiectwa jest to okres najintensywniejszych niszczycielskich sprawek jego. W tym okresie hoduje swoje potomstwo i zaprawia do rozbójniczego rzemiosła. Cały następny okres jest nieszkodliwy, a nawet sympatyczny, godzę się nawet na nazwę sanitarjusza dla niego.

Stanowczo zaręczyć mogę, że w czasie karmienia młodych poluje tylko na zwierzynę szarą i płową i ptactwo wszelkiego rodzaju, a zaręczam również, że nawet na deserowem maśle przysposobionych kotletów końskich tem mniej padliny końskiej nie tknie, bo tylko w mroźnych zimach i głębokim śniegu do koniny z konieczności a nie z amatorstwa ciągnie.

Twierdzenie, że na polowaniach z nagonką, lisy z zającami wychodziły w przykładnej zgodzie i na zające nie zwracały uwagi — jest pewne — nie trzeba jednak zapominać, że lis to mykita dbały o własną lisią skórę.

Stosunki łowieckie w Małopolsce po wojnie są z małemi wyjątkami wprost opłakane — na dowód przytoczę sprawozdania z polowań delegatów naszego Towarzystwa, gdzie się często spotyka, że na rozkładzie mniej zajęcy jak myśliwych, uczestników polowania.

Przy najintensywniejszem tępieniu lisa — w naszych warunkach ten zawsze się znajdzie w kniei i na polu, — boć niestety u nas pod tym względem t. j. ochrony zwierzyny, brak wszelkiej solidarności. jeden posiadacz polowania bez względu na koszta czyni wszystko, by stan zwierzyny u siebie podnieść, gdy sąsiad dostarcza, ale szkodników.

Lisa tedy stawiam na równi z kłusownikiem i wnękarzem.

---

w gęstwinę, zakopał i gałęziami świerkowemi nakrył, we trzy albo cztery dni przyszedł, odgrzebał i zjadł połowę, jak mięso skruszało, bo świeżego nie jada, dopiero wtenczas jak ścierwo zaśmierdziało; Fryszerz go znalazł i poznał, bo to był koń kary i łysy, ale nie profitował i ze skóry, bo była nadgniłą i poszarpaną.

A co ten bestja narobił szkody po pasiekach to strach, i wspomnieć; taki zaś był przezorny, że gdzie szkodę zrobił, toż już prawie tego dnia wyniósł się w inne okolice, choć za cztery mile. Krzywołapą wszędzie był zwany, bo miał jedną zadnią nogę w bok wykrzywioną, widać kiedyś od postrzału a to znać było po śladach na piasku, lub śniegu.

Jednego razu nawiedził on i moją pasiekę, i po swojemu szkodę zrobił, a było tak: gdy krzywołapa siał wszędzie postrach po okolicach, pasiecznicy co noc pasiek pilnować musieli, aby takiego złodzieja odstraszyć lub ubić, i ja też co noc pilnowałem pańskiej pasieki, ale to nic nie pomogło; bo kiedy około północy zamargotał i wspiął przednie łapy na parkan, a noc była widna, ja złożyłem się do strzelby i ściągnąłem kurek, wymierzywszy w same piersi, tymczasem piston pękł a strzelba nie wypaliła, bo ta diabeł wymyślił te pistonówki; nie miałem zaś drugiego pistona, drapnąłem zaraz w nogi do chaty, jakiś mię Boże odpuść, strach ogarnął a trzęsąc się rozsypałem z papierka na ziemię kilka pistonów, które miałem w zapasie; musiałem więc zaświecić aby znaleźć i pozbierać, w tem usłyszałem wewnątrz chaty jakiś łomot, a to mnie strachu dodało, bo myślałem że się już krzywołapa do chaty dobiera, a strach ma wielki oczy, rozbudziłem synów a byli w chacie oba, każdy miał strzelbę a równie jak ja strzelał, wszelako jak zaczęli radzić i odradzać że ten krzywołapa jest wcielony diabeł, że już nie jednego pasiecznika poterpał lub podrapał, każdy z nich tchórzył i mnie tchórzostwa dodawał, to zaledwie wyszliśmy wtenczas, gdy się dobry dzień robił, ale wyszedłszy co żeśmy z zadziwieniem spostrzegli? Mądry niedźwiedź, zobaczywszy iż zemknąłem do chaty, już na śmiało wyłamał jedno przęsło parkanu od pasieki i pierwszego lepszego pochwyciwszy stojaka (pień stojący z pszczołami) uniósł heń na drogę ku Drywiczny przynajmiej o dwieście kroków od pasieki a tam uderzywszy pniem o korzeń sosny, rozbił i rozdarł go potem na dwoje i miód wszystek wylizał, a pszczoły biedne spomścił; to powiedziałem panu, tak szczerą prawdę jak Pan Bóg na niebie.

Wszyscy okoliczni właściciele leśnych pasiek wdzięczni Ruszczycowi że tę bestję ubił; złożyli mu kilkanaście pni jarek, a ksiądz proboszcz zawsze przy gościach, którzy się do niego w niedzielę po nabożeństwie zbierają na śniadanie, nazywał brata niedźwiedziem' tryumfatorem albo krzywołapą, bo też i ten szlachcic także był nieco koślawy, a krzywołapa już nie żył.

— A w barciach czy też niedźwiedź szkody nie robił? zapytałem.

— A jakież mógł robić? odpowiedział kiedy zadnią prawą nogą na bok sterczącą od stopy, nie mógł się wspinać do barci to panie jak tę łapę oprawili, znaleźli w kostce na samym składzie stopy, siekańca z ołowiu,

Samozachowawcza siła rodu lisiego jest nader wielka, wszak w czasie wojny światowej zdawało się, że nadeszła chwila zagłady dla lisa, przecież tyle ludzi wojskowych na niego polowało, — parchy, więcej jak zdziesiątkowały ród lisi, — jednak — lis jest, może trochę rzadszy i niema obawy ażeby wyginął — owszem, już się rozmnaża silniej — pomimo, że go ustawa nie chroni.

Jakąż więc krzywdę wyrządziłaby ustawa ochraniająca lisa w okresie, gdy jest najszkodliwszym dla tych tyle dbałych i troskliwych o stan swój zwierzyny prawdziwych myśliwych.

Sądzę tedy, że ochrona lisa ustawowo — byłaby błędem nie do darowania.

Zostawmy więc lisa na dotychczasowej jego wolności.

Komu zależy na dobrym stanie zwierzyny i ptactwa, niech go tępi, drugi niech sobie go hoduje nawet. Dla zakończenia zaś dodam, że także jestem przeciwnikiem używania strychniny do tępienia lisa, lubo jest to środek radykalny, ale ileż innych sposobów do tępienia go ma myśliwy do dyspozycji.



# ZAJĘCZA GAWĘDA

(SATYRA)

W dzisiejszych krytycznych czasach, gdy bieda wszystkim srodze daje się we znaki, nie tylko ludzie ustawicznie biadają, na swą niedolę, — lecz wszelaki twór Boży, czy to skrzydlata ptaszyna, czy też czworonóg biedny, utyskuje stale na przeróżne bolączki i ogólną ciężką sytuację.

Przedstawiciele tchórzliwego, lecz niemniej sympatycznego rodzaju „lepus timidus“, najbardziej może z pośród zwierzyny, odczuwają grozę dzisiejszych czasów, dowodem czego djalog podsłuchany, jaki się wywiązał pewnego słotnego, jesiennego popołudnia pod główką kapusty, pomiędzy dwoma szarakami utyskującemi na ciężkie czasy obecne.

Jeden z nich rzecze: „Dawniej, choć dla naszej nacji nieszczęsnej, zawsze były psie czasy, i moc wszelakiego rodzaju zbirów czyhała na nasze życie, jednak tyle co dziś dwunożnego tałałajstwa nie mąciło nam nigdy spokoju“.

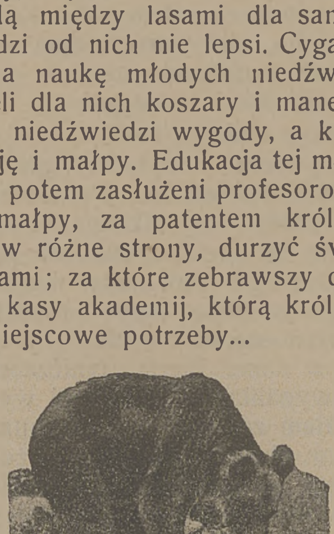
„Masz rację bracie“ odparł drugi kopyra, — „dawniej wprawdzie jak i dziś wpadło się nieraz w drut, — wielkie spustoszenie czyniły wśród naszego plemienia, rude mykity, lub inni rabusie: wrony, sroki, jastrzębie, łaski, faryzeusze-hipokryty boćki, kundysy-powsinogi itp. — lecz najbardziej łasy na nasze smakowite combry, dwunożny prześladowca, nigdy nam tyle biedy co dziś nie nazapiekał“. „Przyjdzie taki nieraz łaps ladajaki, z gęby mu bardzo niemile patrzy, morda zakazana, rzekłbyś raczej bandyta nie myśliwy — i dalejże uganiać się za nami. Toć to nawet taka pokraka strzelby uczciwie

który tak był gruby, jak koniec palca i w kostkę był już wzrosły, a jednak ten psotnik o kulawej nodze, jeszcze był tak silny, iż ze dwieście kroków przeniósł mojego stojaka który ważył ze 20 pudów. —

Słońce już zachodziło, gdyśmy zdążyli do chaty na smaczny obiad z ryb, bo to był dzień postny, a razem kolację z kartofli tartych zapiekanych na świeżem maśle, dobyłem jednę i drugę butelkę wina z mojej bryczki, z których jednę oba ze starym wysączyliśmy, a drugą rodzina jego, rozgwarzyły nas serdecznie i gawędziliśmy z nim przeto, zaledwie nie do północy. Opowiadał stary o dawnych czasach, i co sam widział i o czem słyszał od swego ojca. —

Na zapytanie czy zaznał księcia Karola Radziwiłła panie kochanku, tak mówił:

— A toć ja byłem dziesięcioletnim chłopczykiem, wziętym na służbę do zamku, do jakiegoś pana Włodzimierza, nie pomnę jego nazwiska, bo go tylko po imieniu nazywali, a był dworzaninem zamkowem i byłem poty, póki z księciem tam gdzieś za morze czy też do Paryża nie wyjechał, bośmy już potem ani jego ani księcia nie widzieli, a ojciec mnie do domu zabrał zaraz po odjeździe dworu. Dobry to był panisko ten książę Karol, ale czasem dumny, zbyt zarozumiały, jako bogacz bardzo rozrzutny, a czasem od fantazji wariat! Wszak to (ja tam nie byłem ale powiadali) że będąc w Warszawie na jakąś tam sesyją panów senatorów, nie sześcioma końmi ale sześcioma niedźwiedziami, wyuczonemi w akademij smorgońskiej, karetą dziwaczną zajechał. Straż boczna honorowa i woźnica na koźle i lokaj z tyłu, byli to cyganie profesorzy z owej akademij, forysiami były małpy w czerwonych katankach a laufer przewodnik cygan. Jak z taką kawalkatą wjechał książę na dziedziniec zamkowy, gdzie stało już wiele senatorskich koni z powozami, to zrobiła się z przestrachu tego wjazdu książęcego taka samotocha, taki popłoch, że wiele koni pokaleczyło się i wiele powozów połamało, za które, potem książę mówią że drogo zapłacił. Smorgonie, tam dalej ku północy, ztąd mil około sześciu, za księcia Karola były osadą między lasami dla samych cyganów, dziś są tam żydzi od nich nie lepsi. Cyganie mieli sobie dostawianych na naukę młodych niedźwiadków, przez straż leśną, mieli dla nich koszary i maneże i wszystkie dla siebie i dla niedźwiedzi wygody, a książę przysyłał im i na edukację i małpy. Edukacja tej młodzieży trwała do lat sześciu, a potem zasłużeni profesorowie, wyuczone niedźwiedzie i małpy, za patentem króla cygańskiego rozchodzili się w różne strony, durzyć świat niesłychanemi widowiskami; za które zebrawszy dość pieniędzy opłacali się do kasy akademij, którą król cyganów rozporządzał na miejscowe potrzeby... C. d. n.



w łapiskach swych trzymać nie potrafi. Strzela to, a strzela i dziur bez liku w powietrzu narobi, — gorzałką gęsto przeplata, — często jeno porani naszą brać szarą, a rzadko zamorduje bezlitośnie“. — „Nie tak to nie tak“ „in illo tempore“ bywało; byli ongiś myśliwi chyba więcej humanitarni, którzy gdy strzałem razili, to albo śmiertelnie, albo też mimo huku nas oszczędzali. Dziś te zakazane nieraz figury strzelają, bo strzelają, ale przeważnie marnie i dużo naranią nas i przyjdzie nieraz potem ginąć marnie, stając się pastwą mykity, wiejskiego pokurcza lub wron. „Prawda to święta, odrzekł drugi kopyra — mróz i ciarki ciało przebiegają, gdy się pomyśli co za wyjątkowo psie czasy dla nas nastały“. Co zacz te dwunożne kreatury co się podszywają pod myśliwych miano? Skąd takie bezkarne i bezlitosne pastwienie się nad nami bezbronnemi stworzeniami, które za całą obronę jeno skoki mamy! Nadomiar złego dziesiątkuje brać naszą sroga nieraz zima, lub epidemje — nieoszczędzają strzelcy, brzemiennych nawet połowic naszych. Wszystko pokaleczą, lub pomordują“. Okropność. „Ja radzę rzecze drugi szarak — zjednoczyć się i wpisać na członków do Kasy Chorych“. — „Warjacie! wrzasnął towarzysz — czy mało ci cierpień i męczarni od nas zupełnie niezależnych, chciałbyś jeszcze dobrowolnie nadstawiać swe ciało w ambulansie czy szpitalu Kasy Chorych, by męczeńską śmiercią przypieczętować i tak krótkie i niepewne życie nasze“. Wolę raczej skonać pod miedzą, czy jałowcem, — niż powierzać siebie opiece tak sławetnej placówki!“

Wobec powyższego dość snać przekonywającego argumentu, zamilkł szarak projektodawca i obaj przyjacielo smutnie zaczęli poruszać wąsami i snując melancholijnie w wyobraźni swej projekty ku skutecznej samoobronie, rozeszli się kicając, tembardziej że zdala na horyzoncie jak z ziemi wyrosłe, ukazały się nowoczesne sparodjonowane kreacje pseudo-myśliwskich euferm.

Biedne szaraki tuszyły, że dożyją lepszych czasów, gdy po wydaniu nowej ustawy łowieckiej i wprowadzeniu reform sanacyjnych na polu łowiectwa, szara brać sympatycznych Kubusiów będzie świadkiem lepszych czasów i większej ochrony przed rabusiami w różnorodnych skórach i postaciach.

*St. Ost.*



WŁADYŁAW CZERNIEJEWSKI

# W TYGRYSIEM LEGOWISKU

## (ZE WSPOMNIEŃ MYŚLIWSKICH N. B.)

W 1875 r. byłem przez rząd angielski wysłany do Wschodnich Indji, gdzie w jednem z tamtejszych poselstw objąłem stanowisko kierownika biura. W szczupłem gronie pracowników tej instytucji zwrócił na siebie głównie mą uwagę p. Stoclen, wyróżniający się od innych funkcjonarjuszów podeszłym wiekiem, wyniosłą postawą, inteligencją i gentelmeńskiemi formami towarzyskiemi, a głównie darem wymowy, humorem wesołym i gotowością do gawędy wszelakiej. Wszystko to jednało mu ogólną sympatję wśród szczupłej naszej białej kolonji, był zawsze pożądanym gościem w każdym domu i nie odmawiał swej bytności nikomu. Wkrótce też pozyskał i moją sympatję, stał się miłym i częstym mym gościem, uprzyjemniał mi nudne godziny częstej bezczynności biurowej — a wieczory schodziły nam na miłej gawędce o dalekiej ojczyźnie, zawsze jednak najchętniej słuchałem barwnych jego opowiadań o odbytych podróżach do Indji, Afryki, na Cejlon i do Australji, pełnych emocji i niebezpieczeństw wypraw myśliwskich, lub podniecających i drażniących nerwy wspomnień burzliwej jego młodości. Pozwalam sobie przytoczyć tu jedną z jego opowieści, w której przyjaciel i długoletni towarzysz jego odegrał tragiczną rolę.

Było nas trzech, — mówi p. L. — ja, kapitan Warton i miczman młody Lincoln. Polowaliśmy na grubego zwierza w okolicy pustynnej Tschimboraso. Sprzyjające nam dotąd szczęście w łowach, zaczęło swą twarz odwracać od nas, zwierza rzadko można było spotkać, a spotkanego najczęściej pudłowaliśmy jak żaki, a dotego i aura zmieniła swe oblicze. Modre, nieskazitelne dotąd czyste niebo, gęstemi chmurami zaciągać się poczęło wokoło — ich czarne łono darły co chwilę oślepiające oczy, błyskawice, grochotały coraz bliższe grzmoty, kłębiące się i przewalające z jednego końca nieba w drugi, a huk piorunów, tysiącznemi echy o dalekie odbijał się skały, wstrząsał ich posadami. Zawył żałośnie wicher, zatrząsł zeschłą dżunglą, wpadł w gąszcz leśną i zwichrzył czuby konarów odwiecznych palm i buków, skręcił pnie stare, wyrywał z korzeniami i walił je na siebie, młode giął do ziemi jak giętkie trzcin łodygi, huragan szalał, wył i burzył wszystko słabe na swej drodze. Niebawem otworzyły się śluzy niebios i deszcz potokami zalał okolice, unosząc z sobą w głębokie jary powalone drzewa i kamienie. Papugi, małpy nawet gad wstrętny, chłostane wiatrem i deszczem, lub bite przez padające drzewa, marły i nikły w nurtach ryczących potoków. Szum wody, grochot grzmotów i huk piorunów, trzask łamanych i walących się drzew olbrzymich, głuszył nasze głosy i nie dozwalał nam się porozumiewać z sobą. Z pomocą naszych ludzi-krajowców po długiem poszukiwaniu znaleźliśmy ochronną jaskinię, w której omokli do nitki i wyczerpani pochodem, znaleźliśmy chwilowe schronisko. W jaskini panował mrok zupełny; o krok przed nami nic widać nie było można, czasami tylko na mgnienie oka rozjaśniały ją raptowne błyskawice.

Nagle, jakby cała zamarła natura, zrobiło się cicho, a w tej chwilowej ciszy z dalekiego kąta jaskini doleciał nas jakby przytłumiony stęk, lub zduszone wycie jakiegoś zwierzęcia.

Trudno byłoby mi opisać ten przestrach, jaki nami w tej chwili ogarnął, lecz nim zdążyliśmy ochłonąć z pierwszego wrażenia, śmiały a mało rozważny Lincoln już czołgał się z kilku mymi ludźmi po kamienistem dnie pieczary ku kątowi, skąd straszne odezwały się głosy. W minutę potem przerażający krzyk ludzki przepełnił grotę i za

chwilę pokazał się miczman z ludźmi niosącymi parę tygrysiąt, wielkości foxterierów, Na ich widok przerażony Warton zawołał: „Boże! my w tygrysiej jamie!“ i z temi słowami rzucil się do otworu jaskini, nakazując nam co rychlej z niej uciekać, lecz jeszcze nie przebrzmiał jego rozkaz, jak u wejścia stanęło dwóch pozostałych przed grotą wartowników, z okrzykiem strasznego przestrachu „tygrys, tygrys“ — poczem z kocią zwinnością zaczęli piąć się na najbiższe drzewa. Ja schwyciłem oparty o ścianę sztucer, gotując się do walki z zwierzem, a przytomny Warton z pomocą ludzi zawalił otwór groty ogromnym kamieniem, do podniesienia którego strach dodawał im siły. Zaledwie kamień zagrodził wejście, wyraźny ryk zbliżającego się zwierza rozległ się obok i za chwilę ogromny łeb bestji pokazał się w szczelinie wejścia.

Głaz nie przzylegał szczelnie do ścian kamiennych i przez otwór w górze mogliśmy wyraźnie obserwować rabusia, jego łeb szeroki, zielone ślepie drapieżne, szeroką paszczę zbrojną kłami poteżnemi. Ogłuszający ryk bestji przy akompanjamencie młodych ludojadów, trzymanych przez Lincolna i Franka, napełniał zgrozą jaskinię i zdawał się wstrząsać granitowemi jej ścianami. Zwierz coraz więcej stawał się strasznym, złe jego ślepia rzucały iskry i zdawały się rozświecać ciemności groty, darł kamienne ściany wejścia pazurami, łbem odpychał kamień, a widząc bezskuteczność swego wysiłku, zawył przeraźliwie.

Ognia! — skomenderował Warton — i ze zwykłym sobie spokojem wycelował w łeb rabusia.

Zgrzytnęły zamki naszej broni, lecz nie wypaliły — prochy zwilżały widocznie. Tygrys zrozumiał ten trzask suchy naszej broni, przeczuł grożące mu niebezpieczeństwo i odskoczył na bok. Włożyliśmy nowe w lufy naboje i na komendę spuścili kurki do bokiem ku nam stojącego o kilka kroków zwierza. Niestety, ten sam skutek — broń i teraz nie wypaliła. Była to dla nas krytyczna chwila i gdy z głębokiem westchnieniem Warton zawołał „przepadliśmy!“ — owładnęła nami prawdziwa rozpacz i trwoga. Pozostawało nam tylko odwalić kamień i wpuścić zwierza do groty, lub pozostać w niej i umrzeć z głodu i pragnienia. Poraz pierwszy widziałem Wartona z opuszczoną na piersi głową, bezradnie stojącego. Lincoln gorączkował, rzucał się niecierpliwie po naszem więzieniu, aż wspólnie z Frankiem znikł nam w ciemnym kącie zagadkowo. Raptowny jęk w oddalonym kącie wyjaśnił całą sprawę, pojął i tygrys ten ostatni stęk swych dzieci i rozpaczliwie zawył w stronę lasu, skąd inny, niemniej żałosny, zerwał się odgłos.

W tej chwili świsnęło złowrogo z żałosnym jękiem kilka strzał w powietrzu i jedna z nich ugrzęzła w ślepiu tygrysa, a jego bolesnemu rykowi odpowiedziały śmiechy i wrzawa siedzących na drzewie indusów. Zwierz dał susa, wspiął się przednimi łapami na drzewo, darł je ostrymi pazurami i tarł łbem o nie, a gdy oswobodził się od raniącego go strzału, powrócił do jaskini i legł przy jej wejściu.

Lincoln z Frankiem rzucili mu zaduszone szczenięta przez ciasny otwór. Na ich widok zwierz zerwał się z miejsca, podskoczył do nich, przyjrzał się im uważnie, obwąchał, łapą przygarnął do siebie, a przekonawszy się, że nie żyją, ryknął tak żałośnie, żeśmy nasze uszy zasłonić musieli, by nie słyszeć tej strasznej jego skargi.

Burza przechodziła; poszarpane wiatrem chmury prześcigały się w pośpiechu, firmament znów rozjaśniał czystym lazurem, słońce zalało blaskiem żółtawym dżunglę — w której śpiew i gwar ptasi odżył na nowo. Tygrys wyciągnięty leżał przed jaskinią, ogromny, wspaniały, a w jego budowie, muszkułach i kościstych kończynach widniała straszna moc i siła.

Nagle w dali odezwał się gromki głos innego tygrysa, na który niezwłocznie odpowiedział żałośnie nasz znajomy — zwoływali się widocznie. Wkrótce nasze położenie znacznie jeszcze miało się pogorszyć, u naszej groty zjawił się drugi tygrys — mniejszy cokolwiek od pierwszego.

„Ten nam pokaże drogę do wieczności“ — zabrzmiał głos drżący Wartona — to tygrysica, matka, mścicielka swych dzieci.

Ryk tygrysicy nie da się opisać — była w nim straszna skarga, zapowiedź okrutnej zemsty, lecz raptownie urwała, wyciągnęła szyję, podjęła głowę wysoko, rozdęła nozdrza i zdała się wzrokiem szukać wokoło siebie zabójcę swych dzieci, a gdy jej oczy padły w naszą stronę, jednym skokiem znalazła się przy wejściu i z straszną siłą poczęła gryść, deptać i odwalać kamień, który jednak przy wspólnym naszym wysiłku zdołaliśmy utrzymać na miejscu. Tygrysica, przekonawszy się o swej bezsilnośct, zwróciła się do leżącego dotąd samca, który na jej widok zerwał się gwałtownie na równe nogi, a postawszy razem krótką chwilę, jakby naradzając się z sobą, co dalej począć, szybkim biegiem ruszyły w dżunglę.

Gdy ich ryki coraz więcej słabły, aż wreszcie ucichły zupełnie, rozpływające się w dalekem przestworzu, otucha i nadzieja na ocalenie wstąpiła w nasze struchlałe serca. Rozważny i chłodny Warton nie podzielał jednak naszej radości, był pewien, że mściwe stworzenia nie pozwolą nam uciec spokojnie, nie wywarłszy na nas swej słusznej zresztą zemsty. Żadna perswazja poczciwego towarzysza nic już pomóc nie mogła i gdy siedzący dotąd na drzewach nasi przewodnicy nadbiegli z oznajmieniem o zniknięciu tygrysów w dalekiej dżungli, w gmnieniu oka odrzuciliśmy kamień i wybiegli z wilgotnego lochu na przestworze, Warton wyszedł ostatnim, ociągał się ciągle. Zbytniem byłoby opisywać wam tej chwili i nadziei, jaka nas podniecała i sił dodawała do ucieczki. Natrafiwszy na jakąś ścieżynę wśród górskich rozpadlin w dolinę biegnącą, sunęliśmy raźnie po niej, odważnie przeskakując przez głębokie szczeliny granitowe i ryczące na ich dnie potoki. Nagle przed nami ujrzeliśmy, jak nitkę pajęczyny, zawieszony nad ogromną przepaścią, trzcinowy mościk, wąziutki jak wstążka, a pod nim rozpadliny ostremi najeżone skałami. Na widok tej deski ratunku naszego jedynego, zamarły nam serca, gdy na zakręcie wysokiej skały ujrzeliśmy biegnące za nami zwierzęta. Dzieliła nas jeszcze tak znaczna odległość, że zdążamy przedostać się na brzeg przepaści przeciwległy, ostatnim przeszedł po bujającym się moście Warton. Teraz wykazał on w pełni swą odwagę i roztropność, jaką w krytycznej chwili nigdy go nie opuszczała. Przedostawszy się na drugą stronę, gdzieśmy w całym komplecie już byli zebrani, Warton

przyklęknął i kindżałem zaczął podrzynać trzymające most powiązania, w nadziei, w ten sposób zagrodzić i uniemożliwić dalszy pościg tygrysów za nami. Niestety, zawiódł się w swej rachubie.

Pierwszą nad przepaścią stanęła tygrysica i z całą wściekłością i głośnym rykiem zrobiła rozpaczny skok ku nam i na chwilę zawisła nad przepaścią ogromna, wyciągnięta, wspaniała a straszna. Źle jednak obliczyła swe siły i runęła w bezdenną głębię. Zrozpaczony i ostatnią wściekłością uniesiony samiec, rzucił się w strasznym skoku ku nam, dosięgnął przedniemi łapami naszego brzegu, wczepił się wystającego kantu skały i zawisł całem swem ogromnem ciałem nad przepaścią. Była to minuta tak dla nas straszna, iż nawet głos przerażenia zamarł nam na ustach, staliśmy okamienieni i bezradni.

Pierwszy Warton, stojący najbliżej tygrysa, odzyskał przytomność i prędką rezygnację. Nachylił się nad zwierzem i zatopił mu nóż w piersiach. Tygrys zebrawszy ostatek sił, wdrapał się tylnemi nogami na gładką prostopadłą ścianę obrywu, przednią łapą pochwycił za biodro śmiałego myśliwego, ciągnąc go ku sobie, lecz sprężysty Warton uchwyciwszy się lewą ręką o sęk leżącego drzewa, prawą powtórny wymierzył cios zwierzowi.

W tej samej chwili ja z Lincolnem nadbiegamy mu z pomocą i zapalczywy marynarz strasznem uderzeniem kolby sztucera w głowę rabusia, spycha go w przepaść. Nie obliczył widać siły ciosu, traci równowagę i pada na kraj skały, a nie mogąc znaleść żadnego oparcia — z rozkrzyżowanemi rękoma i okropnym okrzykiem leci za tygrysem w bezdenną otchłań i ginie nam z widowni.

Była to ostatnia ma wyprawa na grubego zwierza, a choć od tej tragicznej chwili tak wiele już upłynęło czasu, stoi mi ona tak jasno przedemną, jakgdyby wczoraj rozegrana.

## Tragiczna rozprawa z niedźwiedziem

W połowie września b. r. szedł sobie przez las w Skolszczyźnie okoliczny włościanin i spotkał się oko w oko z niedźwiedziem. Co tam zaszło między nimi, dobrze nie wiadomo, faktem jest tylko, że chłop zdzielił misia kijem po łbie, a miś czynnie zareagował na poniesioną zniewagę. Skutek tego spotkania, jak łatwo domyślić się można, był dla człowieka fatalny. Zwierz kłami i pazurami pomściwszy obrazę, wlókł bezwładnego nieszczęśliwca jakich 100 metrów po zwojach drutów kolczastych, tamtędy przechodziła bowiem dawna linja bojowa, następnie złożywszy go w gąszczach zebrał w około, gdzie znalazł suchych gałęzi, okrył niemi wysoko ciało jak się zdawało martwego już człowieka i ułożywszy taki prymitywny sarkofag, oddalił się, pewnie by w nocy powróciwszy, wyprawić sobie ucztę z nieboszczyka. Domniemany nieboszczyk przyszedłszy jednak wkrótce do przytomności, wydobył się z pod przez misia ufundowanego mu nagrobka i zawlókł się do najbliższej osady. Stamtąd wysłano go koleją do Lwowa do szpitala, w drodze jednak ciężko widać przez zwierza poturbowany chłopek Bogu ducha oddał.

---

# Korespondencja

*Stanisławów, w sierpniu 1926.*

Wychodząc z założenia „lepiej później, jak nigdy“, przesyłam sprawozdanie z polowań w sezonie 1925/26 dwóch Towarzystw łowieckich w pow. stanisławowskim.

1. Towarzystwo Myśliwych w Stanisławowie:

polowanie w Baratkowcach — 46 zajęcy; w Chomiakowie — 34 zające; w Czerniejowie (oberża) — 102 zające i 4 lisy, — łazy — 17 zajęcy i lis, — wieś — 56 zajęcy, — las — 35 zajęcy; w Drohomirczanach — 113 zajęcy; w Podłużu — 72 zające; w Zabereżu I. — 93 zające, — II. — 44 zające.

2. Towarzystwo Łowieckie św. Huberta:

polowanie Św. Stanisław i Załukiew — 8 zajęcy; Kryłos — 14 zajęcy; Pobereże (Malinowiszcze) — 33 zające; Sielec I. — 15 zajęcy, — II. 18 zajęcy; Tyśmienica 12 zajęcy; Kozina — 10 zajęcy i kozioł; Pobereże (Ścianka) 19 zajęcy.

Rezultat polowań Towarzystwa św. Huberta o wiele gorzej wypadł, z powodu. że Towarzystwo to posiada tereny dalsze, w przeważnej części świeżo odebrane od innych myśliwych, pracuje jednak wiele nad podniesieniem ilości zwierzyny i nad jej hodowlą. Przytem bardzo ujemny wpływ wywarły deszcze i odwilże, jakie z prawdziwym pechem prześladowały wszystkie dni polowań,

* * *

Mimo spory kawał czasu, jaki upłynął od wojny światowej, która sprowadzlła chwilowy upadek łowiectwa, stosunki na tem polu nie ułożyły się u nas jeszcze tak, jakby to być powinno. Zatarte w znacznej mierze poczucie własnej godności myśliwego i właściwego pojęcia istoty myślistwa u znacznej liczby myśliwych przedwojennych, — a z drugiej strony powstałe zastępy nowych myśliwych-demagogów, walczących o swoje prawa pod hasłem „równouprawnienie także pod tym względem“, wstrzymują normalny rozwój łowiectwa i szerzą zagładę zwierzyny, wprowadziwszy pojęcie polowania na tory zupełnie fałszywe, przez tworzenie z niego źródła dochodów.

Z oburzeniem i bolem patrzy prawdziwy myśliwy na wyprawy strzelców wyjeżdżających punktualnie 1. października rano na zająca — lub w lipcu, w czasie zarządzonej przez Województwo ochrony kaczek — na podloty, które nie będąc jeszcze lotne, dają się wybijać masowo na zasiadkach wieczornych, gdy wyruszają na żer na czystą wodę. Z ubolewaniem widzi się strzelców prześladujących przez całą jesień zająca na jednym i tym samym terenie tak długo, jak długo „to się opłaca“ — a to są przecież zbrodnie w pojęciu kulturalnego myśliwego-hodowcy — są to postępki urągające nietylko etyce myśliwskiej, ale z punktu widzenia hodowcy wprost karygodne!!

Zupełnie zrozumiałą jest rzeczą, że Władze nie mają do dyspozycji tyle ludzi, by mogły wydane przez siebie zarządzenia kontrolować w ich wykonaniu — lecz mogą uszczuplić zastępy nowopowstających myśliwych, przez skrupulatne badanie ich kwalifikacji — a zwłaszcza o ile chodzi o kandydatów do samoistnej dzierżawy polowania.

Opinja delegatów Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego nie powinna być czczą formalnością, ale decydującą o kwalifikacjach każdego z nowych myśliwych, względnie dzierżawców; delegat bowiem przed postawieniem wniosku odwołuje się do gremjum najważniejszych osobistości ze świata łowieckiego, a conajmniej do najbardziej miarodajnych w tym względzie postronnych osób. Delegat działa wyłącznie w imieniu dobra ogółu łowie-

ctwa i jego kultury, a nigdy pod wpływem wyłącznym spostrzeżeń osobistych — stanowisko jego nie jest płatne, ale honorowe — zaszczytne i delegat jest poniekąd czynnikiem regulującym sprawy łowieckie powiatu — a patrzą na jego działalność oczy wszystkich tych, którym to samo dobro leży na sercu — zatem opinja musi być zdrową i bezstronną.

Tą myślą powodowane, w przewidywaniu katastrofy, jaką mogłoby spowodować frymarczenie terenami myśliwskiemi — utworzyły Towarzystwa łowieckie rodzaj zrzeszenia, podporządkowując działalność każdego Towarzystwa ogólnej radzie nadzorczej — w tym celu, aby gospodarka mogła postępować jednomyślnie — celowo i zbawiennie dla łowiectwa — a sądzę, że sanacja stosunków łowieckich w ten sposób ujęta przyniesie zbawienne rezultaty już wkrótce — a Władzom ulży w kierowaniu temi sprawami.

Oby św. Hubert raczył dopomóc w tem wielkiem i zbawiennem w skutkach rozpoczętem dziele!

*K. Piórkowski.*




# Sprawy Towarzystwa

## SPRAWOZDANIE

### z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 10. września 1926 r.

Przewodniczy wiceprezes Cyryl Czarkowski-Golejewski; obecni wiceprezesi: A. Mniszek i A. Sander; członkowie Wydziału: inż. Ebenberger, Dr. Małaczyński, St. Pieńczykowski, dr. Ziembicki; zastępcy: dr. Piechowski i dr. Śnieszek.

Przyjęto do wiadomości rezygnację delegatów, a to Władysława Komornickiego w powiecie brzeskim, dr. Karola Fusiarskiego w powiecie tarnowskim i Jana br. Konopki w powiecie dąbrowskim.

W poczet członków zostali przyjęci: Tadeusz Abłamowicz we Lwowie, Bronisław Błażewski w Kamionce strumiłowej, Jan Borzęcki w Smorzu, powiat Skole, Witołd Dąbrowski w Borszczowie, Adam Fedorowicz w Borszczowie, Tadeusz Górski w Jarosławiu, Marjan Gutkowski w Kamioce Lipnik pow. Rawa ruska, Jan Hnatyk we Lwowie, Stanisław Lenartowicz w Stryju, Marja Meusowa w Drohowyżu powiat Żydaczów, Tadeusz Stepan w Majdanie pow. Drohobycz.

Na uwagę zwróconą przez jednego z członków Wydziału, iż niektórzy myśliwi strzelają kuropatwy w gminach położonych w powiecie lwowskim, stwierdzono, że polowanie na nie jest w tym powiecie reskryptem Starostwa z grudnia 1924 r. L. 57850/24 po koniec 1926 r. zamknięte, a przeto myśliwi, którzy tu kuropatwy strzelają, przekraczają wyraźny zakaz. Postanowiono zakaz ten przypomnieć w pismach codziennych.

---

**Rawskie Powiatowe Towarzystwo Łowieckie** — Pod tą nazwą zawiązało się w Rawie-Ruskiej dnia 28. września br. za inicjatywą naszych wiernych Towarzyszy Panów Kazimierza Wysockiego i Kazimierza Remiszewskiego Towarzystwo dla popierania kultury łowieckiej. — W obecności reprezentantów władz państwowych tudzież kilkudziesięciu a należy podnieść, że między zgromadzonymi były także trzy Panie, chlubnie znane w powiecie i w dalszej okolicy z zamiłowania do prawdziwego myślistwa, zagaił poseł Kazimierz Wysocki zebranie, a obrany zebrania tego przewodniczącym energicznie poprowadził obrady w kierunku uchwalenia statutu tudzież wyboru zarządu.

Szeroko pojęte cele Towarzystwa, zgodne z celami M. T. Ł. nadają nowemu Towarzystwu charakter Towarzystwa par exellence łowieckiego, postanowiono bowiem, że przez Towarzystwo będą brane w dzierżawę jedynie te tereny, które nie wzięte przez nikogo z członków Towarzystwa lub znanych myśliwych, mogłyby się dostać w niepowołane ręce i być ze szkodą ogółu ofiarami gospodarki rabunkowej. W statucie przewidziano, że Towarzystwo, jako takie, będzie członkiem M. T. Ł. i działać będzie w ścisłem z niem porozumieniu, a na prośbę obecnego przy obradach delegata M. T. Ł. wiceprezesa Sandera uchwalono dodatkowo jednogłośnie, że Towarzystwo należyć też będzie do Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie.

Członkami honorowymi Towarzystwa przez aklamację mianowano zasłużonych nestorów myślistwa, powiatu rawskiego, Panów Kazimierza Remiszewskiego, Pawła księcia Sapiehę i Kazimierza Wysockiego.

Do Zarządu Towarzystwa, do którego wpisało się z miejsca 39 członków, wybrani zostali Panowie: Zygmunt Łączyński, Włodzimierz Patraszewski, Adam Remiszewski, Paweł książę Sapieha, Jan hr, Siemieński, Dr. Kazimierz Wojakiewicz, Kazimierz Wysocki, Władysław Underka, tudzież jako łowczy Inż. Aleksy Biliński. Do Komisji rewizyjnej wybrano Panów: Mikołaja Burtowego, Inż. Tomasza Chołoniewskiego i Karola Kruzensterna, a do Sądu rozjemczego Panów: Romana Czajkowskiego, Romana Pawlika i Dr. Walerjana Zaklikę.

Przy wnioskach wolnych wezwał książę Sapieha Towarzyszy myśliwych do możliwego szanowania, to jest puszczania bez strzału, zajęczyc i loch, przypominając przytem słusznie (odnośnie do dzików i lisów), że pojęcie o szkodnikach dla rolnictwa i łowiectwa uległo w ostatnich czasach tak radykalnej zmianie, że byłoby wskazanem, by w projektach nowej ustawy łowieckiej tę kwestję sumiennie postanowiono.

Po zamknięciu obrad założycieli Towarzystwa, ukonstatuował się, w myśl postanowień dopiero co uchwalonego statutu, jego Zarząd, wybierając prezesem Kazimierza Wysockiego, zastępcą Zygmunta Łączyńskiego, skarbnikiem Władysława Underkę, sekretarzem inż. Aleksego Bilińskiego.

Nazwiska założycieli Towarzystwa i osób do Zarządu wchodzących tudzież powszechnie znana energia Pana Kazimierza Wysockiego, dają pełną gwarancję, że Towarzystwo swe główne cele, to jest wytępienie kłusownictwa i podniesienie stanu zwierzyny w powiecie, w krótkim czasie osiągnie.

Przykład myśliwych powiatu rawskiego, którzy pierwsi tak szeroko a radykalnie sprawę podniesienia kultury łowieckiej w swym powiecie postawili i przez bezpośrednie, codzienne działanie przeprowadzić ją postanowili, jest naśladowania godnym. *S.*

# Myśliwym do wiadomości

Oznajmiamy naszym członkom, delegatom i ogółowi myśliwych, iż według znajdujących się w biurze naszem zapisków, opartych na zawiadomieniach odnośnych Starostw, zamkniętem jest obecnie polowanie na kuropatwy w powiatach: czortkowskim, dobromilskim, horodeńskim, jarosławskim, liseckim, lwowskim, łańcuckim, rohatyńskim, rzeszowskim, samborskim, sokalskim, strzyżowskim, tarnobrzeskim i zaleszczyckim. Nadto w powiatach czortkowskim, dobromilskim, liseckim, rohatyńskim, samborskim i zaleszczyckim zamknięte jest polowanie na sarny (rogacze), w powiecie rohatyńskim także na zające zaś w powiecie chrzanowskim na bażanty.

Ponieważ zapiski nasze mogą być niedokładne, zależnie od tego czy nas odnośne Starostwa zawiadomiły o zarządzonem zamknięciu, przeto doradzamy tym myśliwym, którzy udają się w obcy powiat na łowy, by w odpowiedniej drodze wczas się poinformowali o stosunkach tych w owym powiecie istniejących.

Zauważamy nadto, że wiele Starostw prócz zamknięć polowania na poszczególne gatunki zwierzyny w całym powiecie, zamknęło nadto polowanie na wszelką zwierzynę w poszczególnych miejscowościach swych okręgów. Tego rodzaju bardzo licznych zamknięć tu, dla braku miejsca, nie podajemy, jednak na pytania w tym kierunku do nas zwracane będziemy dawać informacje według naszych zapisków.

*Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.*



# Nowe czasopismo

Pod wydawnictwem „Związku Strzeleckiego" wyszedł pierwszy numer miesięcznika: *Przegląd strzelecki i łuczniczy* (Red.: Warszawa, Al. Jerozolimska 27). Pismo wydane bardzo starannie, zamieszcza cenne i fachowe wiadomości z dziedziny strzelnictwa. Jak tytuł wskazuje, wskrzesza to czasopismo zupełnie u nas zaniedbały a tak piękny i trudny sport strzelania z łuku będący na Zachodzie i w Ameryce w pełnym rozkwicie.

**Karabinki małokalibrowe i ich użycie.** Autorem tej nowej pracy jest znany nam wszystkim ze strzelań popisowych M. T. Ł. członek tegoż, znakomity strzelec por. Jerzy Podoski. Książka opracowana bardzo szczegółowo i fachowo opatrzona licznemi rycinami, będzie z pewnością poważnym czynnikiem w rozwoju sportu strzeleckiego u nas i w kształceniu w tym sporcie młodzieży. Książka ta wydana również przez *Związek strzelecki.*



## KOMUNIKAT

Generalny Sekretarjat IV. Ogólnego Zjazdu Leśników Polskich — Warszawa, ul. Nowy Świat 36 m. 4, — podaje do wiadomości o zbliżającym się Zjeździe Leśników, jaki odłożony wskutek wypadków majowych, odbędzie się w Warszawie w dniach 2, 3, i 4. października b. r.

# Na ołtarz św. Huberta w dalszym ciągu złożyli:

Stefan Krzysztoforski 6 zł; Roman Hauser 2 zł; inż. Bolesław Błocki 5 zł; Dr. M. W. 10 zł; Janina Madeyska 20 zł; Towarzystwo Łowieckie Kopyczyńce 30 zł; Towarzystwo Myśliwskie „Venator" 50 zł; Juljan Kwaśniewski 11 zł; Grodzieńskie Towarzystwo Myśliwskie 10 zł; Stanisław hr. Siemieński-Lewicki 26 zł.

# Z Wydawnictw

ŁOWIEC POLSKI Nr. 15. wyszedł i zawiera:

Od Redakcji; Od Administracji; Centralny Zw. Polskich St. Łowieckich: W palącej sprawie podatków komunalnych; Jan Stolcman: Żubr, jego historja, obyczaje i przyszłość; Juljan Ejsmond: U źródeł łowiectwa na ziemiach polskich; Wuzet: Z letnich polowań na Polesiu; Stanisław Czermiński: Etyka myśliwska; Mieczysław Berezowski: Hodowla wyżłów „z nad Gopła"; Kalendarz myśliwski. Wskazówki na sierpień. Kronika myśliwska. Ze Stowarzyszeń. Wiadomości bieżące. Zawody strzeleckie.

ŁOWIEC POLSKI Nr. 16. wyszedł i zawiera:

Za kulisami Ogrodu Zoologicznego w Poznaniu; Jan Stolcman: Żubr, jego historja, obyczaje i przyszłość; Juljan Ejsmond: U źródeł łowiectwa na ziemiach polskich; Emil Karney: Pointer, jego wychowanie, tresura, choroby i leczenie; Władysław Czerniejewski: W Peczorskiej tajdze; Ulryk Raszke: Pointer i szorstkowłosisty wyżeł; Przystosowanie tarcz wzoru olimpijskiego do zredukowanych odległości; Rady praktyczne do polujących na kuropatwy. Ze Stowarzyszeń łowieckich. Wiadomości bieżące. Odpowiedzi od Administracji.

ŁOWIEC POLSKI Nr. 17. wyszedł i zawiera:

Wielki Myśliwski Konkurs Fotograficzny; Jan Stolcman: W sprawie płci słonek; Juljan Ejsmond: Bobry w dzisiejszej Polsce; Kazimiarz Świderski: Łowiectwo u naszego wschodniego sąsiada; J. Marchlewski: O wznowienie sokolnictwa; Jan Stolcman: Żubr, jego historja, obyczaje i przyszłość; Emil Karney: Pointer, jego wychowanie, tresura i leczenie; Wł. Janta-Połczyński: Za kulisami Ogrodu Zoologicznego w Poznaniu; Wład. Czerniejewski: W Peczorskiej tajdze; Wskazówki na wrzesień. Kalendarz myśliwski. I. Narodowe Zawody Strzeleckie z broni małokalibrowej cal. 22. Zawody strzeleckie. Ze Stowarzyszeń łowieckich. Wiadomości bieżące. Do Panów myśliwych. Bibljografja łowiecka. Od Administracji. Odpowiedzi Redakcji.

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI I ŁOWIECTWO POLSKIE Nr. 11—12. wyszedł i zawiera:

Do czytelników; Juljan Ejsmond: Holcza; Janusz Domaniewski: Przegląd naszych ptaków drapieżnych; Józef Władysław Kobylański: Zwierzyniec w Poznaniu; Dr. Stanisław Koźmian Rejcher: Pies; Tytus Naborowski: Broń i Amunicja; Z Towarzystw Myśliwskich; Jan Stefan Wydżga: Łowiectwo w Podhorcach; Kronika; Odpowiedzi od Redakcji;

# Franciszek Kalkus

## Lwów, — Zimorowicza 17

Przyjmuje wszystkie rodzaje ptaków i ssaków do preparowania według najnowszej techniki preparatorskiej (dermoplastycznie). Specjalnością pracowni jest preparowanie zwierząt egzotycznych — oprawa i naprawa rogów.

Przyjmuje skóry do garbowania z włosem.



## JÓZEF SPLICHAL, SYN

Pierwsza Pracownia Broni

## Kraków, — ul. Sławkowska 16

uskutecznia wszelkie reperacje w najkrótszym czasie; nowe osady, montowanie lunet, ostrzeliwanie broni kulowej.

Poleca skład broni różnych systemów własnego wyrobu jakoteż pierwszorzędnych fabryk zagranicznych.

MAŁOPOLSKIE TOWARZYSTWO ŁOWIECKIE wydało drukiem monografję myśliwską p. Alberta Mniszka, — redaktora „Łowca", p. t.:

## „JARZĄBEK"

40 stronic druku na pięknym papierze, z barwną ilustracją.

CENA 3 ZŁOTE.

Biuro M. T. Ł. (Lwów, Ossolińskich 11, III p.) wysyła zależnie od zamówienia za pobraniem pocztowem, względnie po otrzymaniu należytości z dodatkiem 40 groszy na koszta opakowania i przesyłki. Osobno odbito 50 egzemplarzy na specjalnym papierze kredowym. Cena takiego egzemplarza wynosi 10 złotych. Czysty dochód przeznaczony na wykończenie ołtarza św. Huberta.

BIURO

## MAŁOP. TOW. ŁOWIECKIEGO

Ul. Ossolińskich 11, III p.

Sprzedaje i wysyła na zamówienie:

Roczniki „Łowca" z roku 1915, 1916 i 1925 po zł 6 (komplet)

i luźne numera z różnych roczników.

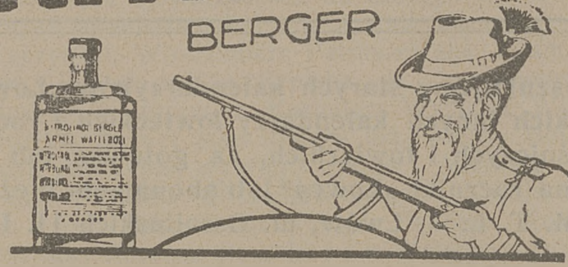
Rocznik 1917, z wyjątkiem numeru 13, 14
„ 1923, „ „ 10, 11

Kroniki Lisowickie za lata od 1917 do 1921 egzemplarze broszurowane po zł 5.
Spis członków M. T. Ł. „ „ 1

z doliczeniem kosztów opakowania i porta

OLIWĘ DO BRONI

# NITROLINOL




DOSTARCZA

## R. NERLICH

FABRYKA ŚRUTU I ODLEWNIA PLOMB

## BIELSKO — ŚLĄSK

Wielkie składy broni myśliwskiej, flobertów, pistoletów, rewolwerów, wiatrówek.
Przyborów myśliwskich i amunicji

## MYŚLIWI, BACZCIE NA DOBROĆ NABOI

żądajcie wszędzie

naboi „MULLERITE" i „CLERMONITE", które dzięki zasłużonemu uznaniu myśliwych cieszą się niebywałym sukcesem.




Liczne zbobycze
MONTE-CARLO
SPA
RZYM
e. t. c.




Charakterystyczne cechy: Proch „Mullerite" w błyszczących płatkach grafitowanych. — Proch „Clermonite" w ziarenkach. Gwałtowność umiarkowana bez straty mocy. Uderzenie wstecz znacznie złagodzone. Szybkość i siła penetracji, piorunująca. Dystans strzału nadzwyczajny. Nie wygryza stali luf. — Odporność na wilgoć zupełna.

NABOJE MARKI P. R. — nabite prochem „CLERMONTE" — wyśmienite i tanie.

Wyroby fabryk POUDRERIS REUNIES DE BELGIQUE S. A. BRUKSELLA (Belgja).

Przedstawiciel na Polskę: P. de Maen, Inżynier, Warszawa, Al. Jerozolimska 26, teł. 77-98.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z „Drukarni Narodowej", Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.